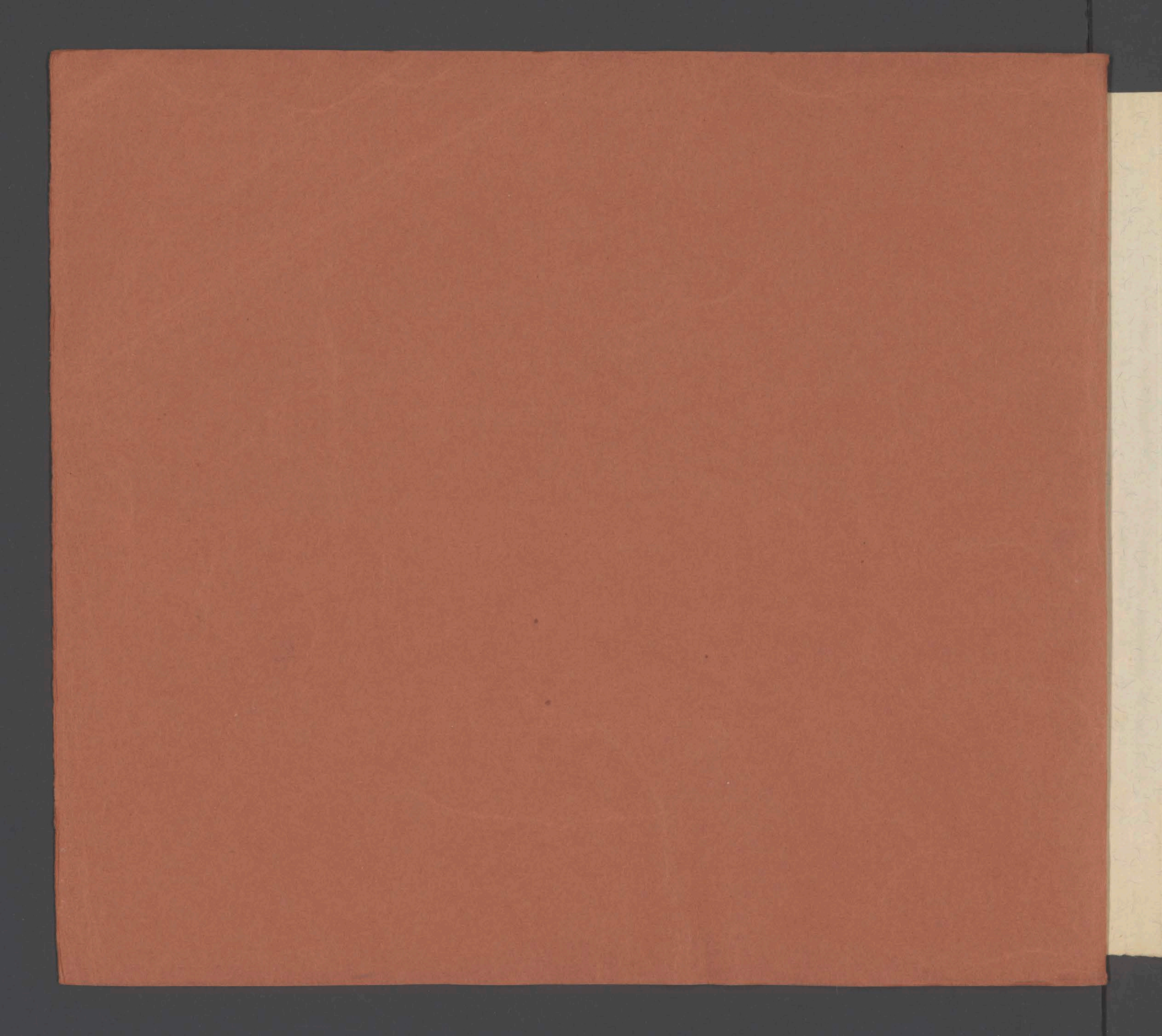
Pińczyce.

VIII.





Pińczyce

„Ej! Gościna to, gościna
Chyba w niebie znowu tak...
Tam szczęśliwa jak dziecina,
Jak ta rybka, jak ten ptak!"

Pińczyce w Częstochowskiem, odległe o 2 wiorsty od stacyi kolei warszawsko-wiedeńskiej Myszkowa, były dziedzicznym majątkiem Kazimierza Stojowskiego. Posiadłość to znaczna, leżąca w równinie, wśród przepięknych lasów. Natura i rządność kilku pokoleń właścicieli szczodrze wyposażyły tę rozległą włość we wszelkie dary dobre, które umilały życie nietylko dziedziców ale i kmiotków, żyjących z dziada i pradziada w dobrej harmonii z dworem, co

sprawdzić nieraz miałam sposobność.
Dom mieszkalny w Pińczycach widocznie dawniej musiał być zameczkiem obronnym; był to czworoboczny budynek o bardzo grubych murach, wspartych z czterech stron na potężnych szkarpach, mających 5 wielkich okien z każdej strony. Pokoje bardzo obszerne i wysokie, na froncie duży balkon z widokiem na zajazd, od strony wsi z pięknym choć niewielkim ogrodem. W przeciwległej stronie domu był kwietny ogródek, a wszystko to okalał regularny czworobok murów z bramą wjazdową i czterema basztami okrągłemi ze strzelnicami. Baszty niewielkie o jednej izbie, zakończone spiczastym

dachem dachówkowym, służyły teraz do celów gospodarskich: w dwóch przechowywano worki z ziarnem dla domowej potrzeby, dwie były składem narzędzi ogrodowych i rolniczych - słowem, jak mówi Mickiewicz:

„Wygnała Marsa Ceres gospodarna"

W murze po lewej stronie dworu umieszczona furtka prowadziła do tuż stojącej kaplicy a raczej kościółka, mieszczącego w podziemiach groby rodzinne linii Stojowskich, osiadłej od wieków w Częstochowskiem, w Rudnikach, Gradkach i innych wioskach. Kaplicę otaczał wieniec wspaniałych lip, upajających wonią kwiatu latem

i dających orzeźwiający chłód ludności, groma-
dzącej się w niedzielę na nabożeństwo. Co-
dzień o 7mej z rana odprawiał Mszę św. przez
rok cały bawiący we dworze reformat z Pilicy.
Poza murem, dwór okalającym, rozciągał się
wprost olbrzymi ogród owocowo-warzywny, przy-
noszący bardzo znaczny dochód za owoce iście
z ziemi obiecanej pochodzące. Za agrest i po-
rzeczki tylko wzięła kuryńka w r. 1867. mi-
mo ówczesnej taniości i sutego wymiaru na
potrzeby dworu 300 Rs. A cóż dopiero za prze-
piękne truskawki, jabłka, gruszki, wiśnie,
śliwki, morele i brzoskwinie! Zbyt był łatwy
na wszystko w okolicy fabrycznej i górniczej.

Ogromne stawy zarybione wspaniałemi okazami, stanowiły nie poślednią część gospodarstwa; liczni kupcy zgłaszali się o ten towar nawet z dalszych okolic. Piękne lasy dostarczały jagód i świerczy-ny. — W tej chwili złapałam się sama na karygodnym postępku, opisując najpierw smakołyki wiejskie. Czytelnik może mi to wybaczyć, gdy rozważy, że piszę to w piątym roku światowej wojny a co za tem idzie w czasie dotkliwych braków aprowizacyi i szalonej drożyzny. Snem mi się wydaje dziś dostatek darów ziemi, których przez długie życie używałam a w chwili kiedy kreślę te słowa (r. 1919) pogryzam na drugie śniadanie kraśny, niesmaczny chleb wojenny... — Kazimierzowie Sło-

jowscy mieli dziatek troje: dwóch ślicznych
chłopczyków Edzia i Władzia, w wieku lat 6 i 7.
i dwuletnią córeczkę Maniusię. Stałymi rezy-
dentami od lat wielu byli: kuzynka Kazi-
mierza S. 40letnia, panna Michalina Sosnow-
ska, i staruszek 70letni Sroczyński, niegdyś
guwerner Kazimierza S., wreszcie ksiądz De-
finitor Lipski, kapelan miejscowy, reformat
z Pilicy. Ta trójka wiekowych już przecie ludzi,
nad wszelki wyraz sympatyczna, u wszystkich
gości i domowników bardzo poważana była.
P. Sosnowska, czerstwa i pełna życia osoba, czyn-
na i praktyczna, była typem opatrznościowej
ciotki w rodzinie; pełna poświęcenia tak dla
krewnych swoich jak i dla ludu wiejskiego, mię-

przy którym szerzyła oświatę, nie bojąc się surowe-
go zakazu Moskali. To też miło było widzieć w nie-
dzielę i święta włościan i włościanki, modlące się
na książce w kaplicy. W owocnej pracy tak p. Sro-
czyński jak i czcigodny ksiądz Lipski pomoc-
nymi jej byli. P. Sroczyński z epoki jeszcze
człowiek, odznaczał się nietylko inteligencyą
i gruntowną wiedzą, lecz także starodawną szar-
manteryą dla dam; nosił się z wyszukaną ele-
gancyą. Zamieszkiwał domek w ogrodzie, umeblo-
wany starannie i z dobrym smakiem. Był zawsze
czynnym, znał się na gospodarstwie i objeżdżał
konno rozległe pola, dozorując ładu i porządku
pod nieobecność dziedzica. Troje tych zacnych lu-
dzi żyło się z rodziną Stojowskich, stanowiąc

jedną nierozerwalną całość, a niczem niezmąconą harmonię. W tem kółku szlachetnych ludzi, zadziaływała na bawiących w tym domu gości nader mile i ciepłą wytworzyła atmosferę. Mnie specyalnie dogadzał spokojny tryb życia i brak wszelkiego blichtru; był to prawdziwie staropolski, szlachecki dwór, z nieliczną, ale dobrą i wierną służbą, serdecznie do swoich państwa przywiązaną.

Sąsiedztw bliskich Tłuczyce nie miały, oprócz p. Rogozińskiego, dzierżawcy, mieszkającego o pół mili, młodego i przystojnego człowieka. Liczniejsze zjazdy bywały rzadkie, chyba na imieniny Stojowskich lub w większe święta. Życie więc płynęło cicho i spokojnie, co właśnie dla mnie mia-

To urok wielki po zgiełku miejskim, zwłaszcza, że upływało wśród ludzi dobrych, serdecznie mi życzliwych i nie zacofanych.
W Pińczycach czytano wiele, bo wszyscy czytać lubili; książek dobrych i pism perjodycznych też nie brakowało. P. Sroczyński posiadał też własną, wcale doborową bibliotekę, z której wraz z p. Michaliną, mającą na wszystko czas, czerpałyśmy niemało.
Przemiłe dzieciaki, zdrowe i wesołe, pod opieką poczciwej, starszej już Szwajcarki, panny Bonaty, zwanej przez chłopców dla skrócenia „Pantą" umieli już czytać i do Mszy św. służyć. Starszy Dario, nieco powolniejszego jak i ojciec usposobienia, dziwne nieraz wyprawiał praktyki. W salonie między okna-

nie były umieszczone lustra a pod niemi kon-
sole, na których stały kandelabry ze świecami
a między temi leżały wielkie księgi pism ilustro-
wanych. Otóż Edzio z malarskim wyrafinowaniem już
kolorowy ręcznik, z ogromną dziurą w środku, za-
wdziewał go przez głowę jako ornat, przewieszał na
szyję związaną parę pończoch „Tanty" a swoją poń-
czoszkę jako manipularz przez rękę, i rozłożywszy
na konsoli wielką biblię Dorégo odprawiał cichą
Mszę św., wyobrażając sobie, że stoi przed ołtarzem
a tak się w modlitwie zatapiał chłopczyna, że
nawet nie uważał, kiedy przez salon, obok któ-
rego zajmowałam pokój, przechodziłam. Był to
widok na pół zabawny i wzruszający. Matka nie

wzbraniała mu tego narzeczeństwa, ale nawet i
ks. Definitor, gdyż oboje upatrywali w dziecku po-
wołanie do stanu duchownego. Ale płonne są ra-
chuby ludzkie! Edzio nietylko, dorosłszy, nie został
księdzem, ale dwukrotnie był żonatym.
Piękne lasy pińczyckie były wymarzonym tere-
nem do jazdy konnej. Poprzecinane gdzieniegdzie
„clairiery”, zarosłe trawką, stanowiły wyborne
pole do harców dla chłopaków. Edzio dosiadał już
dużego konia, Władzio zaś kucyka i pod dozo-
rem ojca, albo p. Sroczyńskiego uganiali po la-
sach, ja z Kamillą towarzyszyłyśmy tylko cza-
sem w jakiejś małej, jednokonnej dryndulce.
Zazdrościłam dzieciakom konnej jazdy, która

oddawna była mojem marzeniem... Kiedy to
objawiłam, dobry p. Kazimierz zaproponował mi
abym spróbowała tego sportu na jego klaczy.
Koni wierzchowych w prawdziwem tego słowa zna-
czeniu w stajni pińczyckiej nie było, przyjęłam
też zaraz łaskawą ofertę p. Kazimierza a p. Sro-
czyński podjął się być mi nauczycielem. Ileż
to było śmiechu i uciechy malców, kiedy widzie-
li, jak mnie na konia windować musiano.
Wkrótce umiałam siedzieć dobrze, trzymać się
w siodle jak należy, jeździłam śmiało nawet,
ale wsiadania nigdy inaczej jak po stołku nau-
czyć się nie mogłam. Podziwiałam cierpliwość
p. Sroczyńskiego, który tyle trudu dla mnie po-
dejmował. Zagustowałam odrazu w konnej jeź-

dzie, więc trzeba było pomyśleć o amazonce. Wybra-
łyśmy się dnia pewnego do Częstochowy po materyał
o który nietrudno tam było, gdyż przez pobliski,
graniczny Będzin przemycano polskie wyroby w dos-
konałym gatunku. Nabyłam materyał wełniany
w pięknym orzechowym kolorze i dodatki, ale zu-
pełnie zapomniałam o niezbędnych do amazonki
guzikach. Pocieszałam się myślą, że może p. Mi-
chalina poratuje mnie w tej mierze. Powróciwszy
do Pilicy zastałyśmy tam p. Rogozińskiego, któ-
ry dowiedziawszy się, że sama mam szyć amazonkę
złośliwie naigrywał się, powątpiewając o moim
(jak pewnie myślał, choć nie wymówił) „babskim"
kunszcie krawieckim. Posprzeczaliśmy się, ale ku-
zynka Kamilla, świadoma prawdy, wzięła mnie

w robocie, wreszcie zaproponowała zakład, który też między mną a p. R. stanął, o cukierki warszawskie, jeżeli najdalej za 3 dni nie stawię się o 5tej pop. w wykończonej amazonce. Maszyna do szycia, była u nas w ów czas nieużywana, trzeba było szyć w ręku, mocno i dokładnie. Nazajutrz rano wzięłam się do pracy w moim pokoju, nie pozwalając nikomu wchodzić do niego a to dla wywarcia większego wrażenia dziełem wykończonem. Ale nieszczęśliwe guziki! Tak przecie nieodzowne w męskim prawie kroju; haftek użyć niepodobna przecie! Na zapytanie p. Sroczyńskiego jak daleko postąpiłam w robocie odpowiedziałam, że zakład przegram dla braku stosownych guzików. Zafrasował się narazie

pocieszył staruszek, ale wkrótce wybawił mnie z kło-
potu, przynosząc mi staroświecki swój frak
ciemno-zielony, roboty słynnego niegdyś w Krako-
wie krawca, Baranowskiego. Przy fraku tym by-
ły prześliczne złote guziki w dwóch wielkościach.
Radość moja była wielka; nie szło mi tyle o cu-
kierki ile o pokpienie sprawy wobec złośliwości
p. Rogozińskiego. Guziki wielce przyozdobiły bar-
dzo udatny kabacik. Kapelusik z brązowej słom-
ki, zbliżony formą do używanych wówczas do kon-
nej jazdy dopełnił stroju mojego. Przejrzawszy
się z zadowoleniem w wielkiem lustrze w salo-
nie, zeszłam na dół przed 5tą z południa.
Uzyskawszy ogólną pochwałę a przyznać mogę że

zastąpioną tym razem, wygramoliłam się na konia i w towarzystwie p. Rogozińskiego i chłopaczków wyruszyłam lasem w stronę Siewierza, letniej niegdyś rezydencji biskupów krakowskich, z ruiną pięknego zamku, a w r. 1867. ubarwej, żydowskiej mieściny. Chcąc przypatrzyć się z bliska zamkowi, wjechaliśmy w środek mieściny, jakby w osie gniazdo. Liczne żydostwo, które nigdy nie widziało kobiety na koniu, wyroiło się nagle i wszczęło krzyk i alarm, biegnąc za nami, tak, że musiałam zawrócić z miejsca galopem, by uniknąć prześladowania mojej kawalkady. Wprawdzie p. Rogoziński utrzymywał, że to był wybuch podziwienia i

uwielbienia ze strony prostactwa żydowskiego, ale co do mnie, to ulgi doznałam, znalazłszy się znów w lesie, chłodnym i przesyconym wonią upajającą. Taki to był chrzest mojej pierwszej amazonki.

Że jakieś fatum zawisło nad moją amazonką, miałam dowód zaraz dnia następnego. Zaledwie wyruszyliśmy poza obręb dworu ku czworakom, kiedy moja klacz narowiła się i z uporem obeszła front czworaków tuż koło bielonego muru, wycierając moją suknią ściany. Z trudem panowie, towarzyszący mi, zdołali wprowadzić kobyłę na właściwą drogę. Edzio i Władzio pokładali się ze śmiechu, czemu się dziwić nie mogłam

gdyż sytuacya to była arcy-komiczna. Zbielo-
na, ale szczęściem nie podarta suknia, dała
się wyczyścić bez śladu, ale szkapa popadła u
mnie w niełaskę i uznaną została za nienada-
jącą się pod damę. W dni kilka potem zdarze-
niu p. R. przywiódł z sobą śliczną, złoto-gnia-
dą klaczkę, wybornie wytresowaną i na cały czas
pobytu mojego w Pińczycach zaofiarował mi ją,
jako dodatek do słodkiego zakładu, który i
dzieciom sprawił radość wielką...

Imieniny Kamci.

18go lipca przypadały imieniny kuzynki Kami-
li S. Spodziewano się większego zjazdu rodziny i
przyjaciół, zapanował więc ruch większy we dwo-

rze. Narada pani domu z p. Michaliną, z szafarką i kucharzem, starym Wincentym, nie trwała długo, bo gdzie wszystko co potrzebne w takich razach jest na miejscu i pora sposobna, łatwo – jak to mówią – „z pełnego nalać". Wspaniałe ryby, pełny kurnik, szparagi i owoce, raki i jakiś zapasik w piwnicy, nietylko na szlachecką ale nawet na pańską wystarczyły ucztę. – W programie były także tańce, czyli – jak mówił p. Szczygiński – „tryndy" i to dla mnie, jak mi pod sekretem wyjawił. Czułam się ukoronowaną i wdzięczną byłam gospodarstwu za ich chęć dobrą i dbałość o moją mikczemną osobę. – W dzień imienin około

południa już goście z Warszawy, Kielc i są-
siedzi byli zebrani w komplecie. Nadeszła pora
obiadu, lecz wzywający do tegoż służący jakoś
się nie pokazywał, co pana domu poczynało
niecierpliwić. Po upływie kwadransa zjawił się
zwiastun fatalnej wieści, udzielonej tylko do-
mownikom, że stary kucharz się upił, wylał
wielki garnek z rosołem, mającym być podsta-
wą do drugiej zupy, że wygnał z kuchni pomoc-
nice i pomocników, słowem, że wyprawia „bre-
werye." Wincenty nie był pijakiem, tylko wy-
jątkowo chciał uczcić solenizantkę, do której
bardzo był przywiązany i do panicza Kazimierza,
bo tak zawsze swego pana nazywał, służąc jes-

cze u jego ojca za lat młodych. Ta wiadomość o kuchennej awanturze zcowała się kuryjka. Kamilla, zdążając do kuchni a widząc ją zirytowaną i ja za nią wybiegłam, licząc trochę na to, że kucharz wobec obcej osoby zmityguje się w gniewie. Jakżem się pomyliłam! Kiedyśmy się w drzwiach kuchni ukazały, Wincenty stojąc rozparty na środku, z żelaznym garnkiem w ręku, w groźnej postawie, wrzasnął na swoją panią, wzywającą go do wyjścia natychmiast: „A ty smarkulo, nie zapominaj że jeszcze wróble na ciebie nie świergotały, kiedym ja w tej kuchni już gotował i rządził! Nikogo nie słucham, sam sobie dam radę a kto się nabliży, tem tym garn-

kiem w Tebo obozowie!" Sytuacya była groźna.
Szczęśliwy pomysł kredensowego chłopca za-
żegnał niebezpieczeństwo. Przyniósł on sieć
na ryby a raczej mały włok i zaszedłszy pi-
jakowi od tyłu, przez otwarte okno zarzucił
na niego i zaciągnął szybko sieć; w ten spo-
sób ubezwładnionego zaniesiono do jego izby,
gdzie też usnął snem twardym po krótkiej
chwili. — Przywołano ze wsi kucharza, który
dawniej sługiwał po dworach i osiadł na grun-
cie w Pińczycach, gotując w okolicy u księży
na odpustach. Opóźnienie uszło uwagi gości
a obiad wypadł wybornie. Obok zupy rakowej
podano bulion, gdyż dwie zupy być naówczas

musiały przy większych wystąpieniach.
Widocznie zapisana była w gwiazdach dnia, tego jeszcze jedna przygoda. Oto w salonie było krzesło popsute oddawna, którego siedzenie zapadało się. Kilkakrotnie upominałam służącego aby inwalidę albo naprawił albo wyniósł, ale ten, lubiący symetrię z uporem stawiał krzesło na swojem miejscu. W dzień fety sama wyniosłam krzesło i ukryłam w swoim pokoju, ale uparty sługa i tam je wypatrzył i umieścił jak zwykle. Tancerz walcujący z młodziutką panienką właśnie tu ją umieścił dla odpoczynku; w tej chwili rozległ się łoskot i panienka wpadła wraz z siedzeniem w pu-

łapkę, złożoną jak scyzoryk. Oczywiście to intermezzo nie popsuło zabawy, która ochoczo przeciągnęła się do brzasku dnia.
Stary kucharz, wielce upokorzony stanął przed swojem państwem, przepraszając za awantury dnia poprzedniego.

Podróż do Krasocina.

W końcu sierpnia tegoż roku powrócił z Anglii po 37 letniej emigracyi, Ludwik Lemański, wuj Kamilli, do kraju, o czem nas matka Kamci, a siostra jego najstarsza, u której zawitał w gościnie, zawiadomiła. Zaraz powzięło zamiar powita-

nia wujaszka, dotąd nieznanego. Wybraliśmy
się więc w Kieleckie do Krasocina, majątku wu-
jostwa Hipolitów Stojowskich. Kuzynka Kamilla
z trojgiem dzieci i my w powozie czterokonnym,
za nami bryczka z pościelą, prowizoryczną kuch-
nią i bagażem. Już dziś nie pomnę jakie
przebywaliśmy miejscowości, tylko pobliskie
Żarki, kiedyś własność wuja Piotra Steinkel-
lera, zajęły mnie bardzo. Stał jeszcze stawia-
ny przez niego pałacyk p.p. Ordęgów, przed pa-
łacem piękne drzewa pomarańczowe w zielonych
kubłach, pewnie towarzysze ongi mojego dzie-
ciństwa w domu Steinkellerowskim w Krakowie

Długo oglądałam się za niemi z rozrzewnieniem. Dzień był upalny i droga męcząca. Gdy zmrok zapadł powietrze się ochłodziło; dzieci siedzące na przodzie powozu z Tantą, usnęły, również kuzynka Kamcia. I mnie po równej drodze, nie przedstawiającej nic ciekawego zaczął sen morzyć, lecz nie dałam się opanować Morfeuszowi, wiedząc, że mamy przejeżdżać przez Szczekociny. Noc już zapadła, kiedy wjechaliśmy na pole historycznej walki. Rzewnego tu doznałam uczucia; radabym była zatrzymać się, uklęknąć na krwią przesiąkłej ziemi i pomodlić się za tych co tu polegli, lecz nie śmiałam budzić dziatwy, śpiącej smacznie. Noc była przepiękna;

księżyc białą poświatą posrebrzył rozległe, ścięte
już pola, gwiazdy gęsto śmigały po niebie, jak
to zwykle w sierpniu bywa. Ciszę przerywały żaby
i świerszcze. Konie zmęczone zwolniły biegu,
woźnica kiwał się, drzemiąc na koźle. Wtedy
stary sługa zszedł z kozła, a zobaczywszy mnie
w oknie powozu, rzekł z cicha wskazując ręką:
„Paniczku! Tu się bił Kościuszko z Moskalami....
moi tu się bili – ja z tych stron jestem.”
Zdjąwszy kapelusz, szedł stary wolno koło po-
wozu. Czar cudnej nocy, wspomnienia przeszłości,
rzewna nuta, drżąca w głosie starego sługi,
wszystko razem wywołało w mojej duszy nastrój
rzewny i podniosły... Ale na świecie z rzadka

się stykają. Z zadumy wyrwał mnie turkot
powozu, wjeżdżaliśmy właśnie po lichym bruku
do ubogiej, żydowskiej mieściny. Żydostwo
swoim zwyczajem snuło się jeszcze po wąskiej
uliczce. Dzieci rozbudzone nagle poczęły się maz-
gaić. Żal mi było tej krótkiej ale górnej chwili,
jaką co dopiero przeżyłam... Nieubłagana proza
życia w postaci brudnej karczmy żydowskiej
stanęła mi przed oczyma. Wtoczyliśmy się
z powozem w wąską sień zajazdu w rynku, gdzie
nam dano „wielką salę" tuż obok sieni i wo-
zowni zarazem. W „sali" nie było nic oprócz
starego, krzywego bilardu z potarganem,
niegdyś zapewne zielonem suknem. Przyniesio-

na dwa brudne stołki i siano na posłanie.
Z podróży w Lubelskie, miałam już rozkosze noc-
legów w polskiej karczmie, nie przeczuwałam
jednak, że w Szczekocinach przyjdzie i mnie
stoczyć walkę z przeważającym wrogiem...
Leżąc wszyscy pokotem na ziemi, zmorzeni drogą
i upałem, w chłodnej izbie usnęliśmy rychło.
Obudziło mnie po chwili nietylko głośne chrapa-
nie kuzynki, lecz takie jakieś mrowie, przebie-
gające po ciele. Zapaliwszy świecę spostrzegłam
z przerażeniem, że opadło mnie czarne robactwo.
Myślałam, że mrówki wypełzły z pod brudnej
podłogi. Były to - pchły! Takiego roju nie widzia-
łam nigdy. Zerwałam się z posłania i zmieniwszy

~~posłanie~~ bieliznę wysłałam na bilard, gdzie, okrywszy się pledem, bez poduszki pod głową się położyłam. O świcie obudził mnie krzyk rozpaczliwy kucharki: Jezus, Marya! Szkarlatyna. Przerażona spostrzegłam Kamcię i Żanetę, pochylone nad małą Maniusią. Zeskoczywszy z bilardu zbliżyłam się do dzieciny, czerwonej na całem ciele. Ale spojrzawszy na Kamcię i Żanettę i przypomniawszy sobie walkę z pchłami, domyśliłam się powodu tajemniczej czerwoności, zwłaszcza, że chłopcy temuż ulegli losowi a pościel wykazywała niezbicie inwazję czarnego wroga. Zimna woda usunęła barwę ale drobne kropki uporczywie

się twarzy torzymały. Wszyscy wyglądali jakby mąkiem osypani. — Trapiła Kamcię myśl, jak się przyjdzie pokazać tak utatuowanym wujowi, powracającemu z Anglii, kraju największej kultury. Jakby na złość za dnia stanęliśmy jeszcze w Krasocinie, ale wuj wyszedł był na dalszą przechadzkę, z której już wieczorem powrócił. Kamcia niby już była w łóżku, chora na głowę a dzieci wcześniej się spać położyły. Wuj Ludwik dowiedziawszy się o naszem przybyciu, serdecznie żałował że nas powitać nie może i uporczywie się dopytywał czy i Marynia jest słaba. Jako na twarzy nie pokropiona, owinąwszy szyję tiulo-

wym szalikiem wysłałam do wuja, który
z widocznem wzruszeniem mnie powitał i dodał:
Przypominasz mi matkę twoją...
Ludwik Lemański liczył wówczas lat 60, był
wysoki i dobrej tuszy, w obejściu łatwy i mi-
ły, miał dar wymowy, ale umiał słuchać i mo-
wy innej, co także za dar poczytuję. Zauważy-
łam rychło że pragnie poznać nasze usposobie-
nia, czynił to zręcznie i niedokuczliwie.
Wujostwo Hipolitowie Stojowscy radzi byli goś-
ciowi niezmiernie a kochająca go siostra
pragnęła po tak długiej rozłące otoczyć go
ciepłem rodzinnem a przypominając sobie do

najmniejszych drobnostek, wszystkie dawne upodobania znała, dogadzała mu we wszystkiem. Jakoż zaraz na pierwszy obiad podano dyszek barani z rożna, soczysty i ślicznie upieczony. Delektując się pieczystem zawołał wuj: „Czemuż nie jestem królową angielską, Wiktoryą – zaraz dałbym waszemu kucharzowi order podwiązki! Przy tej sposobności wuj, który podziwiał Anglię i uważał za wzór cywilizacyi, ganił kuchnię angielską, niesmaczną, ciężką, nieurozmaiconą i niedbałą. Kuchnię polską uważał za najlepszą w świecie.
Przybyli do Krasocina wszyscy trzej synowie p. p. Hipolitów; Alfred, Bolesław i Karol. W ści-

ile rodzinnem kółku, schodził nam czas bar-
dzo przyjemnie. Nagle pewnego dnia zajechali
goście i lokaj oznajmił przybycie p. Marszał-
ka Niemojowskiego i — generała Szwangerego.
Usłyszawszy nazwisko krwiożerczego Moskala,
zwanego słusznie katem i Murawiewem Kielec-
kim, struchlałam i chciałam uciec z salonu,
lecz mój Ludwik zatrzymał mnie słowami:
zostań Marysiu, musimy przecież poznać
tego tygrysa z r. 1863. — ciebie on pewnie nie
pożre... W tejże chwili brzęcząc ostrogami i
cofając się w drzwiach z sędziwym marszał-
kiem o pierwszeństwo, okryty dobrze zasłużone-
mi chwostami, szastając się z salonową galan-

teryą, osławiony generał wszedł do salonu.
Szengery nie pierwszy już raz odwiedzał Krasocin,
miejscowi oswoili się już nieco z widokiem je-
go osoby, mimo to po prezentacyi wzajemnej
rozmowa się nie kleiła, ale pan sędzia – jak
zwano gospodarza domu – szlachcic wielce ga-
datliwy, zagaił chwilowo przerwane posiedzenie,
rozprawiając o skwarnem lecie, kurzu na dro-
gach, spożycie owsa i t. p.
Podano obiad, do którego zasiadło nas osób 10.
Generała posadzono między kuzynką Kamillą
i mną. (!) Przy stole, po zupie – jak to zwykle
bywa, rozmowa się ożywiła. Kiedy służący
z dwoma butelkami wina zbliżył się do Moska-

la z zapytaniem: Białe czy czerwone? ten
wybrał czerwone a zwracając się do mnie, rzekł:
Nie pijam żadnych innych trunków oprócz
wina czerwonego, stąd też zapewne powstała
o mnie legenda, że „Szengery tylko krew
polską pije"... — pani o tem słyszała w Kra-
kowie? Na te słowa grobowa cisza nastała
przy stole. Panie generale — odrzekłam — jako
gościom w domu polskim nie należy nam
poruszać drażliwego i bolesnego tematu. Mos-
kal poczerwieniał i schyliwszy głowę w ukłonie,
że aż pod stołem zabrzęczały ostrogi, wycedził
przez zęby: „Dziękuję za naukę." Serce biło
mi z oburzenia jak młotem. Szengery prze-

zszedł zaraz na przedmiot jakiś banalny, ale
rozmowa ogólna kulała i urywała się, co głu-
chy i trochę już zdziecinniały marszałek Nie-
mojowski zauważył widać i odezwał się, że
„anioł milczenia przeleciał nad stołem.” Oj,
nie anioł to – pomyślałam – ale djabeł zasiadł
przy stole i popsuł nam humor i apetyt.
Wstawszy od stołu, mężczyźni na czarną kawę
i cygara przeszli do pokoju p. sędziego i posie-
dziawszy jakąś godzinę goście wyjechali. – Ta-
kie to gorzkie pigułki musieli Polacy przeły-
kać jeszcze wiele, wiele lat!... Po tygodniowym
pobycie wyjechaliśmy z Krasocina, omijając

tym razem pamiętne Szczekociny. — W początku września zaczęłam cichaczem pakować moje manatki do odwrotu, co gdy pomiarkowano, powstał ogólny protest; wysłano natychmiast zbiorową petycyę do mojego ojca o zezwolenie na dalszy pobyt i wytoczono najcięższe argumenty w celu zatrzymania mnie a między tymi był zapowiedziany przyjazd wuja Ludwika, przed którym uciekać mi nie wypadało. — W Pilicy cach skrupulatnie zachowywano posty, co żadnem nie było umartwieniem, gdyż wszyscy lubiliśmy ryby, a te były wyborne i doskonale przyrządzane. Smikały w dni postne na obiad i kolacyę istne góry szpa-

małych karpiów, linów z sosem, smażonych
w całości wielkich karasi, lub czystych jak
kryształ galaret. Był też zwyczaj staroświecki
podawać na kolację nie tylko dla dzieci
polewki mlecznej lub barszczu oprócz kwaśne-
go mleka. Wszystkiemu i my starsi czyniliśmy
honory, ciesząc się zdrowym apetytem, zwłaszcza
po kolejnej przejażdżce. Zjadaliśmy wielkie
ilości owoców, które się jakoś z mleczną polew-
ką godziły, mimo, że w pobliskiej Częstocho-
wie zaczęła się pojawiać cholera.

Wiadomo, że na świecie nic nie jest bez ale;
miały je także Pilczyce. W tym „Schlaraffen-

landzie" ujemną stroną była kawa a raczej
litewski sposób gotowania jej ściśle według
opisu Mickiewiczowskiego. Mimo czci i uwiel-
bienia dla naszego wieszcza, w tym punkcie
się z nim nie godzę. I w Pińczykach jak on-
gi w soplicowskim dworze, była osobna kawiar-
ka, która choć nie prosto z "Wilna", lecz tyl-
ko z Częstochowy otrzymywała kawę, ale "na-
biała kwiat" garnęła również wspaniały a
każdy garnuszek miał także swój kożuszek,
to jednak gotowanie obu tych ~~wspaniałych~~ [wymienionych]
płynów na kominie przy dotym ogniu i sto-
jąc w dzbanuszkach w cieple do dwóch godzin,
wietrzeć musiała kawa a jeszcze śmietanka.

Rozumie się, że mi ani na myśl nie przychodziło krytykować cośkolwiek w domu, w którym doznawałam serdecznej gościnności i używałam na tak rozlicznych specyałach, zwłaszcza, że kawę przynoszono mi - jak i innym gościom - do pokoju, a odrzuciwszy, co prawda z żalem gruby kożuszek, zlekka drobnemi węglikami przysypany, wypijałam kawę, zawsze gorącą, nader chętnie. Tu poruszyłam ten temat tylko jako obrazek dawnych zwyczajów, jako i poszanowania tradycyi domowej w Pieczyskach, dla której gotowano kawę jak za czasów „nieboszczki starszej pani Stojowskiej."
Arabowie i Turcy gotują kawę także na gołym

ogniu, ale ją wypijają natychmiast a nawet
z miałkiemi fusami wybitnie nie cedzoną,
jak to stwierdzić miałam sposobność, zwie-
dzając w r. 1877. forteczkę Ada-Kale na
wysepce na Dunaju, zamieszkałą przez 6.000
tureckiej biedoty. Kawadzi, który mi ten
nektar gotował, sporządzał go w ten sposób,
że do głębokiego kubła, blaszanego z bardzo
długą rączką wrzucał kawałki cukru, posy-
pywał kawą, na proszek w specyalnym młyn-
ku mieloną, następnie nalewszy na to fili-
żankę zimnej wody, potrzymał nad ogniem na
kominku dopóki się nie zagotowała, t.j. dopó-
ki nie wzbiła się w górę piana, poczem wle-

wał kawę w filiżankę bez ucha z głębokim
spodkiem i tak ją podawał. Dławiąc się fusami,
wypiłam dla ciekawości całą tę miszkulancyę,
nie chcąc obrażać poczciwego Turczyna. Prze-
praszając wieszcza Mickiewicza i wszystkich
Turków i Arabów, piję i uznaję tylko kawę,
gotowaną na dobrej maszynce.
Z tureckiej fortecy na granicy Rumunii, wra-
cam wspomnieniem do Pińczyc. Wuj Ludwik
przyjechał i zabawił dwa tygodnie, które nam
upłynęły miło na konnych przejażdżkach,
wycieczkach do lasu, asystowaniu przy złowie-
niu wielkim włokiem ogromnej ilości ryb, po
które zjechali się kupcy z okolicy. Po wyjeździe

zwija, i ja na seryo wzięłam się do swoich
podróżnych węzełków, kiedy Edzio i Władzio
wieszając mi się u szyi oświadczyli, że mnie
nie puszczą, gdyż ciocia musi pozostać na
zbijanie orzechów, ulubiony obrządek dzieci
i domowników. Za dworem wiodła do pobliskie-
go wiatraku śliczna alea drzew orzechowych,
które ogromnie w owym roku obrodziły, więc
któregoś dnia wybraliśmy się wszyscy uzbroje-
ni w żerdzie, idąc dwójkami (co wyglądało
nader uciesznie) do alei, gdzie natychmiast
rozpoczęliśmy niemiłosiernie zbijać z owocu
i liści drzewa, utrzymując bowiem wszyscy,
że orzech aby obrodził obficie w roku następ-

przym, musi przy jesiennym zbiorze dostać tego „w skórę". Gradem padały ogromne orzechy, uderzając się na głowach i nosach nieraz boleś-nie. Dziewczęta dworskie obierały owoc z zielonej powłoki i wsypywały do worków. Chłopcy, choć niejednego oberwali guza, mieli wielką uciechę a ich wesołość i starszym się w tej batalii udzieliła. Łup był znaczny, wieziony na wozie a my jak rycerze postępowaliśmy parami w powrocie do domu. — Wieczory już dłuższe i chłodniejsze zgromadzały nas na szarą godzinę do pokoju pani domu na pogawędkę, której towarzyszył w sąsiedniej garderobie trzask gniecionych przyjętym zwykłym sposo-

bem orzechów, które wnoszono w dużym koszy-
ku, z dodatkiem salaterki miodu; ucichała
nieco rozmowa, zastąpiona chrupaniem świe-
żych, przedziwnie smacznych orzechów.
Po przedłużonym nad zamiar pierwotny pobycie,
powróciłam do Krakowa, gdzie dość rychło prze-
mogłam pińczyckie rozleniwienie, podjąwszy
zwykłe obowiązkowe zajęcie, mające dla mnie także
swój powab.

Tu swoi i tam obcy
Ptak tych zyska, tamtych traci,
Gdybyż w jednem gronie wszyscy,
Gdyby wszyscy w jednej chacie!..

Bóg dobry dał mi jeszcze doczekać, choć już

sędziwej, ziszczenia się ostatniego życzenia, wyrażonego w powyższym wierszyku..! Jesteśmy „w jednej chacie.!" Znikną te granice, rewizye, szykany paszportowe i t. p. ale „w naszej chacie" niema zgody i jedności; obok najszczytniej-szych poświęceń mamy wewnętrznego wroga...

Tak miłe niegdyś częstochowskie, dziś (w r. 1919) jest gniazdem anarchii i idei wywrotowej. Lecz ufajmy Bogu i Królowej naszej na Jasnej Gó-rze, że złe w końcu minie i dobro weźmie górę....

